

"Otoczenie jest duszą rzeczy."

Fernando Pessoa

Księga niepokoju spisana przez Bernarda Soaresa, pomocnika księgowego w Lizbonie

I. W przedbiegach

No tak ich potraktować! Wstydu, honoru, a co dopiero mówić empatii — za grosz! Łachudry!

Kto? A wszyscy mający jakikolwiek związek z tą sprawą: od zabiurwiałych na amen planistów, planimetrów, przepoczwarczaczy cholera wie komu i po co potrzebnych mutagenistów, zmieniaczy czego popadnie, chybiłtrafistów, dowolnościowców kierujących się ślepą, dziką, dewastatorską rządzą niszczenia, przez równie nieokrzesanych, bezrozumnych, nieogarniętych deptaczy, przechodniów z piekła rodem, po reducentów: Gienka Mirończuka, co zepchnął pocziwym detem resztki ogrodzenia bez-domu, wreszcie: po ekipę chłoptasiów z Maz-Budu, góra dwudziestopięcioletnich murarczyków, operatorów rachitycznych kopareczek i betoniaruś, zbrojeniowczulków.

Uwijają się teraz jak w ukropie, nie mając pojęcia, że sama ich obecność jest profanacją, desakralizacją miejsca, w którym się znajdują, eks-grobu, rozdeptanego przez mrówki-giganty, olbrzymie świerszcze, monstrialne biedronki, zmiżdżone cielskami ponadnormatywnie wielkich pluskiew, mendeweszek.

Nie dezawuuje, nie dewastuje, sukinsyny, miejsca tragedii, ponurego, jak dawno zapomniana, zarosnięta mogiła, równie parszywego, co ściany straceń, szare baraki w obozach zagłady.

Won, ale już, wynosić się, kopacze pierdzieleni, wściekle krety, chuligani, co — będziecie wmawiać, że nie zdawaliście sobie sprawy, co tu zaszło? Akurat! Każdy, każ-dziuch-ny z was ma pełną świadomość, co właśnie odpierdziela, jak groteskowa i kuriozalna tragedia — bo dla Władka Pancelsztyka i jego ponadstuletniej matki była i ciągle jest to tragedia, najprzeogramniejsza, jakiej przyszło im w życiu doświadczyć — tu się wydarzyła.

A wy — co — zamiast kornie schylić głowy, złożyć rąsę w modlitwie, może nawet zapalić znicze na de facto eks-grobowcu — borujecie w ziemi, jakby nigdy nic... Po prostu zgroza, żeby za marne dwa tysiące zeta na miesiąc — bo nie sądzę, że zarabiacie więcej, no, może poza kierownikiem budowy, który inkasuje szalone dwa dwieście — zatracacie, dzień w dzień, przez osiem godzin, godność, wyzbywacie się — o ile którykolwiek z was wcześniej miał — empatii, szacunku wobec ludzkiego cierpienia, grozy i obrzydliwości, jaką stanowiła utrata...

Jak można udawać, że nic was to nie obchodzi, że to nie wasza sprawa, zgrywać obojętność, oschłość, starać się nie mieć ludzkich odru... ha tfu!

Budować cokolwiek w miejscu, gdzie jeszcze półtora roku temu stał dom Pancelsztyków, to jak... nie będzie chyba zbyt przesadą to porównanie — wieszać banery, szmaty reklamowe na krematoryjnych kominach Auschwitz, opychać (na czarno, bo jakże by inaczej!) uniwersytetom medycznym zwłoki swoich najbliższych, sprzedawać własne, ba — jakiekolwiek dzieci na narządy, lub — pardon — kurwić się do imentu, przehandlować dziewictwo, albo i co gorszego, no nie wiem — w ramach promocji kliniki chirurgicznej, nie będąc transseksualistą, za kasę i dla fejmu zmienić płeć; to robić coś, co zwyktemu, posiadającemu mózg, rozum, zjadaczowi chleba do głowy by nie przyszło, czego nie wydumałby, choćby mu przyszło spędzić resztę życia w eremie na wymyślaniu najbardziej absurdalnych przykładów odczłowieczenia, pogoni za pieniądzem, nieliczenia się z... brak słów. Ponownie: tfu!

Powiększa się wyrwa, wykop, nieistnienie. Siedemdziesięciosiedmioletni świat Władka, jego matki, sióstr, nieżyjącego ojca, rozpływa się w kadzi kwasu, żrącego betonu, staje się coraz głębszą historią. Jego-ich dom odchodzi do praprzyszłości, to, co nie tak odległe, dziejące się zaledwie przed półtora ro-

kiem — zostaje rozpuszczone, zatarte, zastępowane, powolutku i mozolnie, nowym. Gorszym. Papierowa i przez to bezużyteczna proteza nakładana na kikut pozostały po niepotrzebnie (barbarzyńsko!) amputowanej kończynie.

Siedział, jeszcze niedawno, przed kineskopowym telewizorem grundig, czy tam elemis, pan Władysław, popijał z emaliowanego kubka kawę inkę, narzekał na kręgosłup, reumatyzm, pogarszający się słuch, karmił kluskami na mleku dożywającą swych dni matkę, znów biadolił, że "skurwysyny, sobie — to przyznają milionowe odprawy, premie uznaniowe-nie uznaniowe, mienie państwowe rozkradają, w biały dzień, jawnie, co tylko się dało rozgrabili, za bezcen wyrozsprzedawali, solidaruchy, eselduchy, kurwa ich mać, a staremu człowiekowi, to tyle lat w Maseltonie uczciwie przepracował, teraz, na starość, jak jest niedołężny, rzucają taki ochłap, każą żyć, e-gzys-to-wać za durne osiemset pięćdziesiąt renty... Pozsie-raliby się, pozdychaliby z głodu, jak rude myszy by wyginęli, żeby im przyszło choć z jeden miesiąc... za takie grosze biedować, w dodatku z chorą matką... Nie znają i nie chcą znać cen w sklepach, prawdziwej wartości nabywczej pieniądza, bo po co im to, zniżać się, schylać do poziomu plebsu — jak oni się burzuje, elyta, wybrańcy narodu...".

Pomstowało się niezmiennie, dzień w dzień, stękało, pojękiwało, że "znowu nogi — jak zamurowane", żarło całymi garściami suplementy diety, proszki przeciwbólowe dostępne bez recepty, panu Władysławowi, dni miały leniwie, niespiesznie, nędznie, marazmicznie.

Zmieniał pampersy matce, gotował grochówkę, żurek, pomidorową z makaronem, wysłuchiwał coporanych transmisji mszy świętej, modlił się od czasu do czasu do jak najbardziej katolickiego i w Trójcy Jedyne Boga pan Władek, podobnie jak siostry, zanim się nie pożeniły i nazwisk mężowych nie poprzyjmowały, a wcześniej — ojciec, od najmłodszych lat niesłusznie, właśnie za sprawą niespotykanego w Polsce, judeobrzmiącego nazwiska, brany za Żyda.

Od pokoleń musiały i muszą się tłumaczyć Pancelszytkowie, Pancelszytkowe i Pancelszytkówne, że nic a nic ich, kuźwa, nie łączy z wiarą mojżeszową, nazywają się, jak nazywają, ale co z tego, do synagogi nie chodzą, jidysz, ani hebrajskiego żadne z nich nie zna, o obchodzeniu Święta Trąbek, Namiotów, czy — o zgrozo — obrzezaniu — mowy nie ma, chłopcy — co zresztą widać — bród, ani pejsów nie noszą, tałesu, czy jarmułka nikt jak żyje na sobie nie miał, o — mięso świńskie, niekoszerne — każdemu w rodzinie smakuje...w ogóle — co za pomysł, by nas wynaradawiać, odkatoliczać, jak byliśmy i będziemy z krwi i kości Lechici, królewski szczep piastowy...

Dość rzec, że urodził się, całą Drugą Wojnę Światową przeżył pan Władek (rzecz jasna — nic z tych czasów nie pamięta) podobnie, jak reszta jego rodziny, pod fałszywym, stuprocentowo polskim nazwiskiem — Nowak. Ukrywała się u dalszych kuzynów, pod Kromienicą, potem — w Gdańsku, niesłusznie oskarżana o niepolskość, pomawiana o złą, semicką krew, familia Pancelszytków.

Jak opowiadał świętej pamięci Bogusław, ojciec pana Władka — trzy razy byli bliscy wpadki, dekonspiracji i niechybnego skończenia w obozie, bo i kto by chciał słuchać argumentów ludzi, co mają gwiazdę Dawida w nazwisku. Pancelszytki, w dodatku z fałszywymi dokumentami — toż to więcej, niż oczywiste, kim są, czyż trzeba dobitniejszych dowodów, że...

...do rzeczy, przepraszam. Żył się — dosłownie — jak Pan Bóg przykazał, Władowi i jego matce, póki siakaś biurwa w Miejskim Zarządzie Gospodarki Ulicznej, Planowania Przestrzennego i Termomodernizacji nie postanowiła dokonać przewrotu. Kopernikańskiego, bo i po co się ograniczać, uciekać do półrodków, jak można — w pracy i za państwowe pieniądze — bawić się na całego, urbanizować, wprowadzać nowy ład tam, gdzie od lat ład panuje?

Skwerek przy Jonakowskiego, parczek na Zubielewie? Wyciąć w pień, zastąpić czymś konkretnym. Jak concrete. Zabetonować, wyasfaltować, w mieście ma być miasto, miastowo i po miejsku, a nie jak w jakiejś Puszczy Knyszyńskiej!

Uliczka Tawara-Józwy? A po co ona komu? Za chuda jest, zbyt wąska, niewygodnie się po niej jeździ, za mała przepustowość, pod deweloperkę najlepiej cały ten obszar, przez Krochmalną, Szkudlińskiego, aż

do Edisona — przeznaczyć pod zabudowę wielorodzinną.

Obwodnica będzie, każdy tylko zyska, jak — o, ty się puści ruch pieszy. Ktoż to widział, żeby w dwudziestym pierwszym wieku, na obrzeżach, to na obrzeżach, ale jednak w mieście, drogi były kompletnie nieutwardzone, niczym za króla Ćwieczka...

Chodniki będą połączone w jeden, długi, czteropasmówkę pieszo-rowerową z wydzielonymi arterijkami dla segwayów, elektrycznych hulajnóg i wózków inwalidzkich, że o buspasach, rikszipasach nie wspomnieć, ciąg komunikacyjny pieszo-autobusowy się wyszykuje, jakiego świat nie widział, nowojorczykom, Chinolom z najbardziej zaludnionych miast oczy zbieleją, ust otwartych ze zdziwienia nie będą w stanie pozamykać, jak zobaczą nasze wykostkowane monstrum!

Taaaaka szeroka będzie obwodnica, obtupalnica właściwie, istna magistrała opinająca centrum, okrążająca je, dusząca węzowym uściskiem!

Złożyły się wnioski o przyznanie grantów-srantów, dofinansowania z funduszy unijnych, głupszy i bardziej ślepi decydenci siedzący o stołek wyżej od naszych planist-sadystów przyklepali je, zaakceptowali, bo i czemuż by nie, TAKA inwestycja w średniej wielkości mieście nie zdarza się często, a jak'ż to opracowane, w jakich'ż szczegółach, jak zmyślnie wykoncypowane, normalnie nic, tylko przyznać drogowego Pritzкера — nie mogli się podobno nadziwić garniturowi kretyni bez elementarnej wyobraźni. Rąs się uściśniły, umowcie — poparafowały, łapówki — bo nikt nie uwierzy, że choć jedna inwestycja odbywa się tu od początku do końca uczciwie, lege artis, lege prawis — i popęzł, boa dusiecie! detoworozbiórkowy, i zjawiły się, szybciej, niż migiem, drzewojady, blaszane karczowniki, wyżerające z korzeniami lipy, graby, rachityczne wiązy.

W ciągu dwóch dni przestał istnieć para-skwarek przy podstawówce, drugi — obok cmentarza, zacywilizowano na śmierć pięć nieco zarośniętych chwastami działek na Gomulickiego i Rataja.

Patrzył mętniejącymi oczami pan Władek, słuchał, choć słuch miał nienajlepszy, jak leeeeeecą, padają zamordowane przez pilarzy, okalające, oceniające jego rodzinny dom, wiekowe drzewa.

Cóż miał zrobić, jak zareagować, gdy szumny plan rewitalizacji poprzez kostkozę-chodnikozę nie obejmował, nawet nie zahaczał o jego działkę? Przykuć się miał, siedemdziesięciosiedmiolatek, jak pół wieku młodszy ekolodzy broniący swego czasu Puszczy Rodowickiej przed wycinką, wrzeszczeć "Nie dam, won stąd", padać przed nieugiętymi budowluchami na kolana, błagać ich, by zmiłowali się, okazali litość, miał odstawiać i tak z góry skazane na niepowodzenie szopki, chandryczyć się z policją i strażą miejską w imię obrony cudzych drzew?

Stał więc za siatką, potem, gdy nogi ścierpły — siedział na schodach chałupy i patrzył bezradnie, jak pełźnie nowe. Jak rodzi się, duszny i niepotrzebny, groźny, toksyczny, przesycony spalinami, gęsty od wyziewów z rur wydechowych pędzących ulicą Niemyrki aut, blask.

Drzewo padało za drzewem, kompletnie niepoetycka, mętna czasza nieba odsłaniała się, nie zakrywana liściastymi gałęziami. Syfny blask zamiast chłodu, koron, śpiewu — nielicznych, ale jednak — ptaków.

Rrrrry i rrrry — darła mordę bezsensowna i dewastatorska śmierć, wrzeszczała blaszana strzyga. Słońce i gwiazdy wręcz zrzucano Pancelsztykowi i jego matce, mimo woli, na dach domu.

...a potem pojawiła się szarość, widok zasłonił udający ekran akustyczny płat ryflowanej blachy i skończyło się gapienie na czynowników. Morderców.

Jasno się zrobiło w izbach i kuchni Pancelsztyków, a więc groźnie i nieładnie. Nieprzytulnie. Przyjemny, intymny chłodek i mroczek, nieco podszytą stęchłą ciemność kątów zastąpił blask, jakiego tu na oczy nie widziano, jakby sto pięćdziesięciometrowych pryzmatów złośliwcy, czyściciele kamienic i działek, bandyci deweloperscy skierowali im prosto na okna, żeby biedaków wykurzyć.

Zawział się pan Władek, zmarszczył brwi i zaczął przebąkiwać do siebie, że nie da, takiego waliska, jak go wezmą na przeczekanie, na tyle zohydą, uprzykrzą, zgnoją mu życie, że sam przyjdzie, ściskając kaszkiet w spoconych dłoniach, zgięty w pół do jaśnie panów mafiozów mieszkaniowych i zacznie błagać o wykup jego sadyby, zgodzi się na kwotę trzy razy niższą od oferowanej, byleby tylko zbawiono go od

niewygód, zgodzono się łaskawie uwolnić nieszczęśnika z matką-starowinką od tortur, bo niewygody to zbyt łagodne słowo.

A niech będzie nawet jego pocziwa chatynka jak w Chinach — domem-gwoździem stopującym inwestycję na nieokreślony czas! Mają respektować święte i niezbywalne prawo własności, wszyscy, jak leci: od ziemioryców po sądy, nie da się wywłaszczyć, nawet za sowitym odszkodowaniem, tu jest jego miejsce na ziemi, tu spędził — za wyjątkiem dwóch pierwszych lat, które przypadały na czas wojny światowej — całe życie, tutaj dochowa mamę i w tych czterech ścianach przyjdzie mu umrzeć!

Szyby — o! — zaklei papierem pakowym, zasłony się zaciągnie, żeby się dało jakoś wytrzymać — i przetrwa się z bożą pomocą, czas budowy, ile by ona nie trwała. Do słończyska będzie się szło przyzwyczaić, chyba, jak to mówią, człowiek wszystko zniesie, takie piękne drzewa, toż tam nawet dębczaki były, barbarzyńce jedne, ale co zrobić, trza czekać, nastawić się na konfrontację, zebrać siły do czekającej walki o rodzinną posiadłość.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 10.06.2021 19:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.